

Fragment książki:

Mamzille - mamuśki z Manhattanu

Autor: Jill Kargman

Gapię się na krystaliczną, zamrożoną tundrę na oblodzonej Alasce. Otoczona bezkresną, śnieżną pustynią mała eskimoska dziewczynka idzie, zmagając się z gwałtownym wiatrem miotającym płatki śniegu, a w tle gra wesoła muzyka.

– Włóż swoje *kami-kluk*, żeby było ci ciepło i sucho...

Nie, nie przyleciałam do Juneau. Oglądam *Ulicę Sezamkową* z moją córką Violet. To jeden z tych przyjaznych dla świata odcinków z Groverem, w których kultury globu oglądamy naiwnymi i niewinnymi oczami dziecka. Odwiedzamy chińskiego chłopca, świetnego akrobatę, potrafiącego kręcić czterdnastoma talerzami na twarzy, oraz małą Indonezyjkę, która umie balansować sześcioma miskami umieszczonymi na głowie. I z nimi tańczyć.

Dzisiaj Grover zabrał nas do czterdziestego dziewiątego stanu i miejscowa dziewczynka ubiera się, zanim stawi czoła arktycznym mrozom, a pomaga jej w tym mama, która zajmuje się łączeniem futrzanych skór i szyciem *tikiyook*, czyli płaszczy chroniących przed niskimi temperaturami. Mała wybiega na rześkie, świeże powietrze, by spotkać się z innymi dziećmi, także odzianymi w najgorszy koszmar PETA, i wskakuje w puszyste zaspę śnieżną, śmiejąc się uroczo.

To wszystko wydawało się tak zdrowe, proste i nieskomplikowane. Żadnych wymyślnych szkół, do których wpa-

da się dostać, ani mieszkań, które trzeba porównać. Bardzo przyjemnie wyglądał ten ponury, a jednocześnie dziwnie powabny widoczek z lśniącym szronem i kilkoma rozbawionymi dzieciakami niosącymi swoje domowe lunche w rozkołysanych torbach.

Ale zaraz znowu dał o sobie znać ten paskudny ucisk w brzuchu i nieodparta, okropna, straszna myśl: na pewno jedna z mam przygląda się *kami-kluk* innego dziecka i patrzy, czy jest lepiej zszyte. Albo czy worek na książki zrobiony przez jedną z mam ma aż tak wymyślny krój jak ten drugi. Jestem pewna, że igloo jednej z rodzin okazałoby się większe, sanie innej bardziej imponujące.

Oglądałam program w swoim telewizorze, w swoim mieszkaniu, bynajmniej nie w białym, puszystym pejzażu, ale w jaskini lwa, w siedzibie najbardziej konkurujących ze sobą mamusiek na świecie: w dzielnicy Upper East Side w Nowym Jorku. W Kalifornii, skąd mój mąż Josh i ja miesiąc temu przenieśliśmy się dość niespodziewanie, jedyna pomarańczowa spacerówka firmy Bugaboo na naszej ulicy stanowiła tak dziwny widok, że ludziom zdawało się, iż to kosmici dostarczyli ją swoim latającym talerzem. W Nowym Jorku ten rolls-royce wśród dziecięcych wózków okazał się tak normalnym pojazdem jak żółta taksówka, ulice były ich pełne, choć w odróżnieniu od samochodów wózki nie pachniały przytłaczająco odświeżaczami powietrza i curry, ale dziećmi wypielęgnowanymi kosmetykami marki Kiehl.

Doszło do tego, że nie mam nawet ochoty spacerować Madison Avenue, bo podczas gdy mój dzieciak wygląda jak modelka firmy Baby Old Navy, ciągle wpadam na sąsiadów z maluszkami pięknie wystrojonymi w sukieneczki, płócienne bluzeczki z tasiemkami u kołnierzyków, lśniące buciki z lakierowanej skóry, koronkowe skarpetki

i ogromne kokardy w wymodelowanych włoskach. Teściowa kupuje nam dziecięce ubranka z metkami CZYŚCIĆ CHEMICZNIE. Jeśli są płócienne, wtedy trzeba rozkładać deskę do prasowania. Mam ochotę uciec. Może trzeba było zadzwonić do Air Alaska.